

L. Ciechanowiecka

Prawda o George Sand

Przyzwyczajaliśmy się widzieć George Sand w postaci trochę ponurej amazonki, kurzącej fajkę i maltretującej amantów. Czarnowłosa jedzą w spodniach, pisząca rozwlekłe romanse, wyraża na jakąś wamp z dziewiętnastego stulecia, zbrojna w gęsie pióro i cybuch. Jedno jest pewne — że Chopin, kapryśny anioł muzyki, ciężkie miał życie z zaborną kochanką.

Wielu pisarzy siliło się, by odbronić genialną George, nikt się nie kwapił, by wiernie oddać jej duchowy i fizyczny konterfekt. Była irytująca pewna siebie, przymet zanadto bezceremonialnie postępowała z mieszczańską opinią, więc się potem „strasznym mieszczańcem”, grasyjacy w literaturze, mścił się na kobiecie w spodniach.

Ale się sprostowała George doczekała satysfakcji. Wprawdzie bardzo późno, bo dopiero w r. 1934-ym znalazła się kobieta, która poczuła sympatię do emancypantki z zeszłego stulecia i przewertowałszy kroniki i listy wyłuskała z nich „prawdę o George Sand”.

Cóż się okazuje: — George Sand to bardzo ładna, miła, stu procentowa kobieta, która w do datku do wdzięków niewieści, dostała od Pana Boga talent pisarski.

Życie samej George Sand mogło dostarczyć materiału do stu trzydziestu utworów — pisze pani J. Kiewnarska w przedmowie — „Najrozmaitszych. Sentymen-talnych i cynicznych. Romantycznych i realistycznych. Pouczających i gorszących. Fantastycznych i tak powikłanych, że aż nieprawdopodobnych”.

Gdyby za czasów George Sand żył doktor Freud, toby z pewnością wyjaśnił niektóre jej „ekstrawagancje”, jako rezultat kompleksów i zbyt ciężkiego balastu dziedzictwa. Napomknąłby o kompleksie Edypa, ale à rebours, bo przecież ta kobieta w spodniach, która wywoływała zgorzzenie napowianiem mężczyzną, była przedewszystkiem matką i nawet w stosunku do swoich przyjaciół zachowywała się najczęściej jak wyrozumiała, bezgranicznie ofiarna matka. Tyle tylko, że to jej macierzyńskie uczucie miało posmak nieco kazirodzicy. Była stanowczo mniej wampem, aniżeli sentymentalną kobietą. Głowę miała zapalną, ciało mniej, jeżeli sędzić po listach Musset'a, który skarżył się, że genialna kochanka daje mu mniej wrażeń erotycznych, aniżeli zwykła pańska midinetka.

J. Kiewnarska (Well), przyjaciółka George Sand z wieku dwu dziesiątego z właściwym sobie nieco „rokokowym” wdziękiem zabierała się do dzieła. Delikatnymi palcami modeluje brązowy posąg wiekłej George, wygładzając ostrość i krzywizny. W rezultacie z urków niepamięci wyłania się, niepodobna do znanej nam George Sand — „szlachetna idealistka”, typowa „kobieta zapoznana”, co była materiałem na wierną żonę, której można ufać

jak samemu sobie, ale trafiła na takiego męża, pocziwca, który „ziewał wieczorem i chrapał w nocy”, który nie rozumiał, do marteń we dwoje był niedolny. Krwisty szlagon, zresztą człek pocziwy („Człowiek pocziwy zawsze jest predestynowany na rogacza” — powiada autorka), uważał literaturę i sztukę za dziwactwa, w najlepszym razie nieszkodliwe.

Więc coś jakby Madame Bovary, tęskniąca do bratniej duszy, ale Madame Bovary podziw jest łobuzem. Bo mała Aurora, prawnuczka jurnego Maurycego Saskiego i sprzedawczyni lemo-niady z ulicy Grenet, odziedziczyła po nielegalnym dziadku żywy temperament, a po figlarnej midinetce radość życia. Matka była córką ptasznika paryskiego Maurycego Dupin. George Sand urodziła się podczas balu, w prze-rwie między walcem a lansjerem Dzieciństwo miała burzliwe, gdyż wyrwały ją sobie matka - plebejusza i matka - arystokratka — (matka ojca). „Dziecko rośnie, jak się to u nas mówi, na las pając i dzierzycie z dniem każdym”. Nie-eksztaltowani metrowie i guwernantki powiększają chaos, jaki panował w młodocianej głowie. „Świetlana postać Chrystusa łączy się w umyśle dziecka z Dionisosem. Tworzy sobie wreszcie nowe bóstwo, mit — na użytek własny. Nazywa go Corambe. Jest jeszcze bardziej wyrozumiałe od chrześcijańskiego Boga”.

W klasztorze mała Aurora zapisuje się do związku niesfor-nych „diabłów”. Staje się postrachem cichych mniszek i bo-żyszczem pensjonarek.

Najpiękniejsze karty książki poświęcone są szalonej pensjonarce, która znalazła w klasztorze przyjaciółkę w osobie pokornej siostry konwerski, Heleny, używanej do najniższych posług. Aurora uważa siostrę Helenę za wcielenie Joanny d'Arc, gdyż ona była pasterką i słyszała głosy, nakazujące jej szukać Boga. Ba — chce wstąpić do klasztoru i w wyrzeczeniu znaleźć szczęście. Ale mądry spowiednik powstrzymał ją od nieopatrzności kroku. W każdym razie był w klasztorze pozostawił jej nie-tarte wspomnienia.

Prawnuczka marszałka Saskiego wychodzi z zaciśniętym klasztoru w dżunglę życia. Odrazu na progu życia spotkała ją zawód — a mianowicie głupkowaty i rubasznym męż, który nigdy nie chciał uwierzyć, że Aurora była czymś innym, niż „zwykłą idiotką”.

Tymczasem „zapoznana żona” szuka odpowiedzi na dręczące ją problemy w lekturze. Jak owa przysłowiowa mysz pożera łakomie wszystkie książki, które zdobyła bibliotekę w Nohan. Najbardziej zasmakowała w Rousseau.

A w rezultacie zaczyna się kształtować jej światopogląd nieco inaczej, aniżeli by tego pragnęły zakonnice. Zresztą nigdy się nie wyzbędzie egzaltacji i sentymentalizmu. Po pierwszej zdradzie

napisze szałnisty list do męża, rozpoczynający się od słów: „Przyjacielu i małżonku wielkoduszny. Wiem com Ci winna...” Snuje błękitny romans z przystojnym adwokatem Aurelijanem, który przysięgał jej „miłość czystą a wieczystą”.

Potem przechodzi epoka paryska. Romans z młodym literatem Jules Sandeau, który wciągnął młodszą panią Aurorę w wir studenckiego życia.

Kroniki paryskie z r. 1831 nie małe miejsca poświęcają kobiecie, która paradowała po stolicy Francji w męskim przebraniu, budząc zgorznienie wśród matron i zatabaczonych mieszcuchów. Tymczasem pani Well czarno na białym wykazuje, że Aurorze Duvdevant zgoda nie zależała na tem, by małpować mężczyznę. Spodnie nosiła tylko dla wygody.

„Kosztowna to rzecz być w Paryżu kobietą — zwłaszcza taka kobieta, która chce wszędzie być i wszystko widzieć. Balzac twierdzi, że to się nie da osiągnąć poniżej 25 tys. franków rocznie. Cienkie ciemki pękają po dwóch dniach chodzenia po ostrym bruku, wykosławiają się szcudelka obcasów. Smetnie zwisają falbany powłoczystych sukien, unurzane w miejscach błot. Wszystko to dobre dla kobiet siedzących w domu i jeżdżących powozem”.

Aurora ucieka od męża, nie stać jej było na karetę. Zresztą miała zamiar włożyć się po Paryżu, zaspakając ciekawość i głód wrażeń.

„Kiedy byliśmy młodzi i goli — rzekała jej raz matka — twój ojciec wpadł na pomysł przebrania mnie za chłopca. Poradziłam to samo siostrze. W ten sposób mogliśmy chodzić wszędzie piechotą razem z naszymi męzami i być w teatrze, na tanich miejscach. Była to znaczna wygoda i oszczędność”.

Również i zła opinia jaką „cieszyła” się u krytyków Aurora — George Sand kochanka, była nie-

porozumieniem. Pani Well-Kiewnarska, z taką siostrzaną czułością i bezstronnością ujmuje się za sprostowaną George Sand, że w końcu wierzmy, iż była to naprawdę zapoznana stuprocentowa „dobra matka i wierna żona”, która z winy mężczyzny przedzierzgnęła się w wietrzną i wampa. Zresztą p. Kiewnarska napisała dopiero pierwszy tom jej przeżyć, więc poznajemy tylko George Sand na tle... Musset'a, który przy całym swym wdzięku i sex appealu (jakby to dzisiaj określono) był cokolwiek typem spod ciemnej gwiazdy i nawet świętą mógł wytrącić z równowagi. Był żywą ilustracją przysłowia: „prawdziwy kochanek to ten, przez którego cierpimy i któremu przebaczymy”. Otóż George Sand przebaczała ciągle, przebaczała wszystko. Wamp? gdzieżtam — oddana rozkochana niewolnica, albo i matka (kompleks Edypa à rebours), do której syn marnotrawny wracał ciągle i którą ciągle porzuca, bo go zamecza sentymentalizmem. O panu Musset z książką p. Kiewnarskiej można by napisać osobne studium.

Po jednym z wielu nieostatecznych rozstań pisał do George:

— Uważałaś się za moją kochankę a byłaś mi matką. Popelnialiśmy kazirodztwo...”

Z niecierpliwością będziemy czekać na dalszy ciąg biografii wielkiej George, już nie pisarki tylko kobiety. Nikt tego lepiej nie uczyni od takiej wypróbowanej przyjaciółki pani George Sand, jak p. Kiewnarska. „Najdziwniejszy z romansów” czyta się jednym tchem. Styl jest szlachetny. Książka wydana została nader ozdobnie i estetycznie przez Tow. Wyd. Bluszc.

Z nauki i sztuki

Teatr

— Z teatrów Polskiego i Małego. W Teatrze Polskim pod kierownictwem A. Zelwerowicza odbywały się próby „Dam i Huzarów” A. hr. Fredry. Rewelacją przedstawienia będą dekoracje, opracowane według szkiców s. p. prof. Nowakowskiego, który wykonał je w r. 1918 dla rosyjskiego moskiewskiego Teatru Dramatycznego z inicjatywą dyr. A. Szyfmana. „Damy i Huzary” otrzymały następującą obsadę ról głównych: Major — Samborski, Rotmistrz — Grabowski, Kapelan — Stanisławski, Orgonowa — Szubicka, Dyndalska — Muncelngrowa, Aniela — Sulima. Poza tem grają: Świerczewska, Jentysówna, Niewińska, Seweriniówna, Socha, Chmielewski i Milecki.

Równocześnie odbywają się próby z przeróbki powieści Teodora Dostojewskiego, p. t. „Zbrodnia i Kara” w opracowaniu scenicznym i pod reżyserją Leona Schillera. Stronę dekoracyjną przygotowuje W. Daszewski.

„Zbrodnia i Kara” otrzymała obsadę w osobach: Damińskiego, doangażowanego specjalnie z Teatru Ateneum do roli Raskolnikowa, J. Andrzejewskiej, doangażowanej do roli Soni i Ireny Solskiej do roli

Marmeladowej oraz najwybitniejszych aktorów zespołu Teatru Polskiego, jak: K. Józefa-Stępowski (Marmeladow), A. Zelwerowicz — (Porfir), Tatarakiewicz-Woskowska (Dania), Stubička (Matka), Muncelngrowa (Lichwiarka), Justian (Swidrigajlow), Chmielewski (Łużyn), Fabisiak (Razumichin).

W Teatrze Małym najbliższą premierą będzie „Milionowy Interes”, komedia o charakterze wybitnie rozrywkowym, angielskiego komedjopisarza Benneta w tłumaczeniu F. Sobieniowskiego. W głównej roli kobiecej wystąpi M. Przybyłko-Potocka.

— Sztuka Tuwima w „Nowej Komedji”. Jedną z najbliższych premier „Nowej Komedji” będzie sztuka Julj. Tuwima: „Gogoljada”, osnuta na motywach z powieści Gogola. Tuwim opracowywał tę sztukę od kilku lat. (b)

— Bezrobocie wśród aktorów. Liezbą bezrobotnych wśród aktorów nie ulega zmianie: według danych Zw. Akt. Seen Polskich wynosi obecnie 20 proc. ogólnej liczby aktorów.

Muzyka

— Koncert kompozytorski L. Różyckiego w Paryżu. W Paryżu, w ambasadzie polskiej, amb. Chłapowski wydał wielkie przyjęcie dla sfer

Z teatrów

Ivar Kreuger Reportaż sceniczny Jerzego Tepy w Teatrze Letnim

Tym razem przedstawienie nieudane, i to nieudane podwójnie: zawiódł autor i zawiódł reżyser.

Autora „Ivara Kreugera”, Jerzego Tepy, znamy już z pierwszego jego reportażu scenicznego, dotąd jeszcze grywanego na popołudniówkach w Teatrze Polskim, z „Fräulein Doktor”. Poznaliśmy jego zręczność scenopisarską — a zarazem braki pogłębienia myślowego, które zawsze jaskrawo wychodzą na wierzch, gdy Tępa próbuje psychologizować, lub cogośza rozsnuwać koncepcje społeczno - polityczne. „Ivar Kreuger” zaczyna się od prologu, w którym autor wypowiada wojnę psychologii i zapowiada, że ze sceny mówić będą same fakty. Świetnie! Na to właśnie Tępa stać. Cóż, gdy bardzo szybko sprzeniewierza się autor tym hasłom i właśnie — tworzy koncepcję kariery i upadku Kreugera, zamiast dać mówić faktom.

Żebyż choć reżyserja prosta! Inscenizacji odpretensjonalnili reportaż! Gdzie tam! Ziemiński, jeden z najbardziej utalentowanych reżyserów młodego pokolenia, tu potknął się fatalnie. Zrobił wszystko, by pretensjonalność sztuki podkreślić, uczynić ją nieznośną. I w rezultacie mieliśmy przedstawienie przykre i nudne.

Odznęgający się od psychologii autor postanowił nam wytłumaczyć karierę Kreugera motywami... seksualnymi. Brzmi to mniej więcej tak: w dzieciństwie oddawał się Kreuger brzydkiemu nałogowi, który doprowadził niemal do rozmięczenia mózgu i początków... paraliżu postępowego. Nadludzka siła woli oparował się (wynalazek leczenia paraliżu postępowego wola, powinien Tępa opatentować), i rzucił się w odmęt pracy, wielkich interesów finansowych, tworzenia monopolów zapalcanych, wszystko poto, aby nałóg się nie odezwał. Aż nareszcie pewnego pięknego poranku wielki Ivar zmęczył się pracą i postanowił

artystycznych Francji, połączone z koncertem kompozytorskim L. Różyckiego. Utwory Różyckiego wykonała śpiewaczka, p. Modrakowska, oraz pianista Niedzielski. Z Paryża Różycki udaje się do Brukseli, gdzie da w radio recital fortepianowy. (b)

Różne

— Nowy lot do stratosfery. Asystent prof. Picarda, dr. Cosynus, który w roku ubiegłym spowodu wybuchu w pracowni i zniszczenia gondoli kulistej nie mógł odbyć lotu do stratosfery, odbędzie wczesną wiosną roku b. ponowny wlot, do którego czyni oddawną staranną przygotowania. Nowa gondola, cięższa od poprzedniej i wykonana z aluminium, jest już ukończona. Dr. Cosynus nie ma zamiaru pobicia rekordu sowieckiego, traktując swój lot z punktu widzenia wyłącznie naukowego. Ma on zamiar wzniesić się na wysokość, nieprzekraczającą 16.000 metrów.

zaznać nieco szczęścia osobistego. Wynalazł sobowtóra, który go miał zastępować w interesach, sam zaś z piękną Francuzką zaszył się we Włoszech. Pracując włoskie przyprawiają Kreugera o szaleństwo. Wówczas zarząd koncernu obejmuje na stałe Kreuger fałszywy, ów wynalaziony przez prawdziwego Kreugera sobowtór. Ten zaczyna oszustwa na wielką skalę i kończy samobójstwem, podczas gdy prawdziwy Kreuger, w jakiś bliżej nieokreślony sposób wyleczony z szaleństwa, żyje spokojnie w Brazylii. Czy razem z Francuzką — wiadomo.

Tak wygląda koncepcja Tepy w grubszym zarysie. Ale i w szczegółach niemniej jest naiwna. Oto np., gdy na posiedzeniu zarządu koncernu Kreugera, dyrektorzy decydują się na ukrywanie szaleństwa szefa i powierzenia kierownictwa sobowtórów — czynią to dlatego, żeby „z żonami i dziećmi nie znaleźć się na bruku”. Całkiem tak, jakby to była spółka z kapitałem zakładowym kilku tysięcy złotych, i jakby dyrektorom kreugerowskiego przedsiębiorstwa rzeczywiście mogła grozić nędza w razie zachowania się przedsiębiorstwa. Życzylbym takiej nędzy każdemu...

Reżyser przedstawienia, Ziemiński, czując zapewne wątpliwość sztuki, która ma zaledwie kilka scen mocniejszych i to dopiero w ostatnim akcie — porobił szereg wstawek muzycznych i nastrojowych. I to dopiero było najgorsze. Nudna sztuka stała się nadmiar irytująca. Fortepian, umieszczony wysoko nad sceną na podjum, do którego wiodły schody, oświetlony reflektorem, odzywał się co chwila akordami, mającymi wywołać nastrój, ni w pięć ni w dziesięć chór marynarzy wyśpiewywał piosenki, zjawy szalonego mózgu Kreugera raz zjawiały się naprawdę (nawet potykając się na schodach), innym znów razem tylko słyszeliśmy o nich z ust Kreugera, scena cały czas tęniała w męczących wzrok ciemnościach, słowem nieporozumienie za nieporozumieniem.

Węgrzyn, w tytułowej roli Kreugera, miał momenty znakomite — ale nie jest to rola odpowiadająca romantycznemu patosowi tego wielkiego aktora. W wielkiej obsadzie doskonale zrobili swoje Znicz, Kempa, Ziemiński, Kurnakowicz, Lindorffowa, natomiast okrucieństwem ze strony reżyserji było powierzenie Nakończnej odśpiewania piosenki: ani jedna nuta nie wypadła czysto. Aż dziw, że może istnieć taki absolutny brak słuchu.

Dekoracje Różańskiego podporządkowane inscenizacji, więc nic o nich samych powiedzieć nie można. Piosenki Maklakiewicza ładne, winowajcą akordów fortepianowych (także przez Maklakiewicza pisanych) jest chyba również reżyser.

St. Piasecki

Z plastyki

Kronika

Otwarto dwie nowe wystawy. Najpiękniejsza kobieta z Placu Małachowskiego ma w najbliższym sąsiedztwie pokaz ukraińskiej sztuki zabytkowej, zorganizowany przez IPS, przy wydatnej pomocy Ukraińskiego Muzeum Narodowego we Lwowie. Zrobiono na pewien czas z IPS-u muzeum i zamiast jeździć do Lwowa, można to samo zobaczyć za złotówkę w Warszawie. Ale nawet, gdyby te zbiory były stale u nas, taka wystawa miałaby sens. Bo na wystawie ludzie zawsze pójda, a do muzeum pies z kulawą nogą nie zajrzy.

Zapytacie ilu warszawian było w naszym, Narodowym, w Alei 3-go maja? Zaglądałem tam wczoraj. Pustka. Kustosz i ja. Najspokojniejszy i najbardziej zaciszny lokal w całej Warszawie.

Postawcie tam ławki, to przynajmniej zakochani zaczną przychodzić, jak będzie na czem usiąść, bo „miebli zabytkowych dotykać nie wolno”, palcem i w ogóle. Tak, tak, niema u nas zamiłowania do zabytków przeszłości, ludzi ploszy już samo słowo muzeum, że to niby starzyzna, pila i tylko dla specjalistów, uczonych, no i zbieraczy. W niedzielę, korzystając z czasu, zamiast oglądać przesłane rzeczy i nawet dla samego gapiostwa ciekawe do obejrzenia, brać to sypie na marną wystawę do Zachęty. Więc przyjdzie, w tym wypadku na dobrą, i do IPS-u. Wystawa, w odróżnieniu od muzeum, jest atrakcją i trwa miesiąc, a do muzeum, nawet zawierającego te same zbiory, „zawsze się jeszcze zdąży pójść”.

Ukraińcy rozwiesili swoje eksponaty (ikony i kilimy) bardzo estetycznie, nie przeładowując ścian, czego nie można powiedzieć o poprzednim Salonie. Wogóle nasze wystawy są zwykle zapchane, to co się tam widzi, to nie jest porcja dla normalnego człowieka, tembardziej, iż ten pokarm duchowy często bywa niestrawny. Jury grzeszą naogół po-błażliwością; skutek jest taki, że artysta nie może się doczekać swojej kolejki, a publiczność nie może się doczekać dobrych obrazów. Trudno zarządom instytucji artystycznych wystrząsnąć jak z rękawa znakomite dzieła sztuki, ale mogą i powinny zakrzętnąć się nieco gorliwiej koło zmniejszenia ilości prac słabych, w stosunku do liczby lepszych. Demokracja to piękna rzecz, ale nie w sztuce. Tu żadne racje nie przemawiają za tem, by wszystkich zadawolić. Byłoby obraz był kulturowy, to go zawsze malarzowi w IPS-ie przyjmą.

Ta pobłażliwość przyczynia się

także do obniżenia poziomu twórczości plastycznej. Trzeba więcej wymagać, wtenczas przynajmniej ci, których na to stać, zdobędą się na większy wysiłek. Warto przypomnieć sobie czasy końca XIX stulecia np. Wtenczas malarz musiał wiele się napracować nad obrazem i namożolić i jeszcze nie był pewny przyjęcia. Nie przyjmowano prac tak pohoennie, jak dziś, chwila wystania dzieła na jury połączona była zawsze z emocją niepewności. Toteż i przyjęcie uważano za zaszczyt niemający i wyróżnienie, większe może, niż dziś niejedną nagrodę.

Przy okazji warto również podać rewizji popularne powiedzenie, że „obrazów nie maluje się na metry”. Mam wrażenie, iż ostry ironji tego subtelnego aforyzmu znacznie się już stepiło, można niem rznąć własnego ojca, bez obawy zostania sierotą. W muzyce i literaturze rozmiary mają swoją wagę artystyczną, nie wiem dlaczego w plastyce ma być inaczej. Łatwiej napisać jed-

nostronicowy wierszyk, niż kilkotomową powieść - epopeję, więc powieść, w stosunku do wiersza, jest czynem o większej doniosłości artystycznej. Tak samo i w muzyce: nikt nie będzie piosenki stawiał przed symfonią. W plastyce rozmiar może zastąpić, do pewnego stopnia, rozwiniecie tematy, ale zwykle jedno łączy się z drugim, co równoznaczne jest także z rozrostem zadania artystycznego. Na razie dość tych rozważań cięższego kalibru.

Tytuł ostatniego konkursu Zachęty nie wydaje mi się dostatecznie jasny. Słowa „na j-piękniejszy portret k o b i e c y”, świadczyłyby, iż chodzi tu o obrazy, tymczasem same obrazy świadczą, iż chodzi tu raczej o kobiety. Dla wyjaśnienia sytuacji proponuję tytuł prostszy i bardziej wyrazisty, np.: „Piękna Polka olejno i akwa rel., czyli Baba i czterdziestu rozbojników pendzla”. Ja osobiście wolę kobiety „au naturel”; malowane, czy to na własnej twa-

rzy, czy też na cudzym obrazie, mniej mi przypadają do gustu.

W IPS-ie skarżymy się na prze-ludnienie, o Zachęcie nie można teraz tego powiedzieć. Okazuje się, że co na jedną instytucję za-dużo, to na dwie za mało. Dawniej artyści na dwa talia zgóry musieli sobie tu sale zamawiać — taka była kolejka — teraz, pro-szę bardzo, szukasz szczęścia — wstąpa za chwilę. Właściwie nie-bardzo nawet jest co wystawiać Ci, co nie mogą się doczekać miejsca w IPS-ie, nie śpieszą jednak do Zachęty, wydaje im się, że to w złym stylu. Nie mają racji, w tym wypadku nie miej-sce zdoła człowieka, tylko zło-wiek miejsce.

Wobec tego stanu rzeczy w Zachęcie jeszcze bardziej zadomowili się jej stali dostawcy. Obok wystawy portretu kobiecego, wszystkie inne, zbiorowe i kolekcje składają się i teraz z prac Zawadzkiego, Nartowskiego, Domaradzkiego, Nehringa i t. d. Wiktor Podolski